

DZIŚ I JUTRO

ROK V. 15. KWIETNIA 1929. NR. 8.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK V. 15. KWIETNIA 1929. № 8.

PAŃSTWO KOŚCIELNE.

Każdy wypadek historyczny da się należycie określić i ocenić dopiero po upływie pewnego, dość długiego czasu: współcześni nigdy nie mogą sobie z niego zdać dostatecznie sprawy. Mogą przeczuwać, mogą nawet z całą pewnością konstatować jego doniosłość dziejową, ale ocenić go należycie i jasno określić, da się tylko z oddali lat dziesiątków.

Odnosi się to także i przedewszystkiem do zdarzenia tak nam bliskiego, którego niemal wszyscy byliśmy świadkami, — do aktu rozwiązania sławnej „kwestji rzymskiej", którego następstwem jest utworzenie suwerennego papieskiego terytorjum watykańskiego. Jakie będzie faktyczne położenie papiestwa w nowych warunkach? — jaki jego stosunek do rządu włoskiego? — o ile obecny stan rzeczy zadowoli wymagania jakie się stawia suwerennej władzy papieża i suwerennemu terytorjum? — jakie pociągnie następstwa dla Kościoła i papiestwa? — itd. itd. — oto wszystko zagadnienia, przed któremi postawić jeszcze trzeba jeden wielki znak zapytania.

W perspektywie dziejowej, w świetle wypadków lat minionych, wiele rzeczy staje się dla nas wyrazistszemi. Dobrze więc będzie zwrócić uwagę przynajmniej na kilka charakterystycznych rysów w historji państwa kościelnego, przedewszystkiem na samo jego powstanie.

Przedtem jednak zapytanie: czy państwo kościelne, o jakimkolwiek charakterze, i w jakichkolwiek rozmiarach, byle suwerenne, jest nierozłącznie związane z samą istotą papiestwa, tak, że ono bez niego istnieć nie może? czy względy teologiczno-dogmatyczne wymagają suwerennego terytorjum papieskiego? Na te pytania trzeba odpowiedzieć stanowczem „nie". Gdyby tak było, papiestwo nigdyby nie mogło istnieć bez suwerennego terytorjum. A przecież był czas, i to czas długi, gdy nawet myśl suwerenności nie zrodziła się w głowie papieży.

Czy jednak praktycznie rzecz biorąc, może papiestwo w pełnem pojęciu, jako władza centralna całego Kościoła katolickiego, — a więc Kościoła powszechnego, stojącego ponad narodami i państwami, obejść się bez suwerennego terytorjum, jeśli w całej rozciągłości i należycie ma spełnić swe zadanie? — Na to trzeba także odpowiedzieć przeczeniem. Całkowita niezależność jest tutaj konieczną. Dowodu dostarczy historja, wykazująca, że wszelkie ograniczenie suwerenności terytorjalnej papieża w mniejszym lub większym stopniu krępowało jego ruchy i swobodę działania, — uniemożliwiało należyte wykonywanie urzędu.

Historja wykazuje ponadto, że właśnie w miarę rozwoju historycznego papiestwa, państwo kościelne stawało się coraz konieczniejszym postulatem.

Ale czyż papiestwo przechodziło rozwój historyczny? Tak. Nie ulega wątpliwości, że np. papież Linus czy Anaklet, jedni z pierwszych następców św. Piotra, wielce różnią się zakresem wykonywanej władzy od takiego naprzykład Grzegorza Wielkiego, — jego zaś znów władza nie może się mierzyć z władzą takiego Grzegorza VII lub któregoś z jego następców. I tak śledząc coraz dalej, poprzez Aleksandra III, Innocentego III, Grzegorza X, nawet Bonifacego VIII, papieży awinjońskich, renesansowych, aż po dzisiejsze papiestwo, stwierdzamy, że mimo wszystkich perypetyj dziejowych, mimo licznych okresów upadku papiestwa, władza jego coraz bardziej się wzmacniała, coraz szerszy obejmowała zakres, coraz więcej centralizowały się w jej ręku rządy całego Kościoła. Prawda, nie można pojmować tego rozwoju tak skrajnie, by sądzić, że powiększała się i rozwijała sama istota władzy papieskiej, albo nawet, że samo papiestwo wytworzyło się w Kościele li tylko pod wpływem sprzyjających warunków zewnętrznych, że pierwsi papieże, byli to biskupi rzymscy, równi każdemu innemu biskupowi, — to jedna skrajność, niemożliwa do przyjęcia. Ale drugą skrajnością byłoby przypuszczać, że zakres władzy papieskiej w praktyce, był od początku taki jak dziś, i że taki jak dzisiaj był sposób jej wykonywania.

Nic w tem zresztą dziwnego. Podobny rozwój musiał już tkwić w zarodku samej myśli Chrystusa ustanawiającego papiestwo. Celem bowiem tego ostatniego była centralizacja całego życia Kościoła, utrzymanie jego jedności. By zaś ten cel mógł być osiągnięty, i osiągany, musiała władza papieska wzmagać się, rozszerzać i rozwijać, — bo z biegiem czasu zmieniały się warunki życia Kościoła. Do tego, by któryś z pierwszych papieży spełniał swe centralistyczne zadanie nie było wiele potrzeba, bo Kościół cały był jeszcze wówczas prymitywną minjaturką. Obejmował niewielką stosunkowo liczbę wiernych, terytorjum zajmowane przezeń było niewielkie, a i organizacja była bardzo mało skomplikowana. Ale gdy tenże Kościół w miarę rozwoju zaczął obejmować miljony, gdy począł się rozszerzać terytorjalnie, gdy w miarę konieczności prymitywny zrazu jego ustrój stawać się zaczął coraz bardziej skomplikowany, na podobieństwo ogromnej maszyny, to nic dziwnego, że i władza papieska musiała się w szczegółach rozwijać, by spełnić swe pierwotne zadanie.

W zakresie tego koniecznego rozwoju leżało także i państwo kościelne. Czy zdawano sobie z tego w Rzymie, w VIII wieku, sprawę, czy nie, to inna rzecz. Czy gdyby jego powstanie nie nastąpiło na tej drodze na jakiej się faktycznie dokonało, czy byłoby nastąpiło kiedyindziej, przy innej sposobności, — to także inna rzecz. Na pierwsze zagadnienie trudno dać stanowczą odpowiedź; co do drugiego, raczej tak niż nie, — zważywszy, że powstanie państwa kościelnego dokonało się powoli, więcej pod spontanicznym naporem wypadków, niż z premedytacją według z góry powziętego i określonego planu.

Jakież to były te okoliczności? Trzeba je przedewszystkiem mieć na oku, chcąc zrozumieć powstanie państwa kościelnego.

Pierwszą rzeczą, o której dobrze pamiętać należy, jest to, że do wieku VII mniej więcej, Kościół i papiestwo w całkiem innych znajdowały się warunkach niż po wieku VII. W tym bowiem pierwszym okresie katolicyzm Kościoła pokrywał się z także pewnego rodzaju katolicyzmem (powszechnością) państwa rzymskiego: jeden był kościół w jednem państwie. Stąd ułożenie stosunku Kościoła do państwa, papiestwa do władzy świeckiej; było rzeczą stosunkowo łatwiejszą i prostszą niż potem, gdy jedność i powszechność rzymskiego cesarstwa zaczynała się coraz bardziej

rozbijać, tak przez podział całej rzymskiej monarchji na dwie części: wschodnią i zachodnią, jak przez wędrówkę ludów. W miejsce jednej monarchji, z jedną władzą centralną, miał Kościół teraz przed sobą cały szereg państw samoistnych, z samoistnemi władzami centralnemi, a liczba ich wzmagała się w miarę rozwoju wypadków dziejowych i w miarę posuwania się coraz dalej granic chrześcijaństwa i Kościoła przez misje.



Bibljoteka Watykańska.

Przed papiestwem jako centralną władzą Kościoła, skupiającą w swym ręku całe jego losy, stawało teraz nowe zadanie; utrzymać jedność katolickiego Kościoła wobec i mimo rozbicia jedności państwa rzymskiego. By zaś to zadanie wykonać, należało przeprowadzić dwie rzeczy: 1) samo papiestwo musiało pozostać katolickie neutralne, stanąć ponad nowemi państwami, — jednem słowem nie dać się zredukować do rzędu carogrodzkiego patrjarchy, albo do rzędu lokalnego, — ostrogockiego, longobardzkiego, czy frankońskiego biskupstwa, pozostać biskupstwem „par excellence", biskupstwem najwyższem, powszechnem całego katolickiego Kościoła, 2) nie dopuścić do tworzenia się w obrębie nowych państw chrześcijańskich kościołów lokalnych, państwowych, autokefalicznyćd (do czego parły wypadki polityczne), — ale skupić je wszystkie wkoło siebie, i scentralizować jeszcze bardziej władzę nad nimi w swym ręku.

To ostatnie zadanie spełniało papiestwo systematycznie przez odpowiednie kierowanie misjami w krajach przyjmujących chrześcijaństwo, — przez odpowiednie ustosunkowywanie się do metropolitów i biskupów — i przez wykorzystywanie wypadków politycznych. Pierwsze zaś zadanie spełniło nie przez co innego, jak tylko właśnie przez utworzenie państwa kościelnego.

W ten sposób potrafiło papiestwo zapobiec niebezpieczeństwu rozbicia się jedności Kościoła pod działaniem wędrówki ludów; drugiemu jednak niebezpieczeństwu podobnego rozbicia się jedności kościelnej, pod naporem rozpadania się cesarstwa rzymskiego na wschodnie i zachodnie zapobiec nie zdołało. W wieku IX i XI musiało przeżyć fakt wielkiej schizmy wschodniej, rozbijającej Kościół katolicki na dwie wielkie części.

Patrząc na rzeczy z tego ogólnego punktu widzenia, możemy sobie już teraz zdać sprawę z roli jaką miało odegrać i odegrało i zawsze odgrywać będzie państwo kościelne. By ona się jeszcze bardziej uwydatniła rozpatrzymy konkretne wypadki, składające się na przebieg procesu powstania tego państwa.

(Dokończenie nastąpi). *X. Y.*

HYMN DO RADOŚCI.

Niech sławią Radość moją nici potoków srebrnych,
szumiących z wiosną,
Niech sławią ją melodje fujarek pastuszych,
zawodzących polami,
Niech z trybularzy łąk wilgotnych płyną obłoki wonne
na cześć radości mojej,
Niech śpiewają jej ptaki...
Radość moja ma oczy z szafirów i odziewa się
w uśmiechy wód grających do słońca.
Nie wiem skąd jest, jeno wiem, że ze mnie się nie urodziła;
Objęła duszę moją skrzydłami i nie odchodzi ode mnie —
Sławcie radość moją !
Sławcie ją: budowniczą jest, i potężną, i czynną zawsze,
Ma w sobie wiosenną siłę życia, a za jej tchnieniem
pęcznieją sokami wartkiemi zwiędłe pędy.
Ma w sobie ciepło i słońce — i czego nie skruszy siłą,
ciepłem stopi.
Radość moja dobrą jest.
Nie jest ze mnie — a pod jej wpływem ożyła
dusza moja.
Sławcie ją — Nie jest mną, czasem odchodzi odemnie,
ale zawsze na dnie mej duszy czuję jej skrzydła
nieruchome.
Czuję jej dobre dłonie nad moją głową, choć ból mną targa
i choć serce mi krwawi.
Nie jest mną — a czuję zawsze dobre jej dłonie...
Sławcie ją...
Radość moja śmieje się jak dziecko — ma uśmiech pusty
i beztroski, a na czole ma majestat królewski
i powagę i jakoby namaszczenie życia.
Bez niej życie byłoby mi ciemne, a z nią staje się
pochodem triumfalnym.
Ona zbiera dla mnie wszystkie uśmiechy kwiatów i wonie
łąk i barwy gór dalekich i upaja mnie pięknem.
Tłumaczy mi smutki moje, rozwiązując je
i pokazując, że błohemi są.
Uczy mnie rozumieć innych. Sławcie radość moją.
Jest niewzruszona jak góry z granitu, jak żebra skał
wieczystych na pogodnem niebie.
Promiennemi oczyma wpatrzona jest w życie
i nie lęka się śmierci.
Opary różowe, wieszające się po szczytach,
Lasy szerokie, rozkołysane na wietrze,
Fujarki pastusze, zawodzące po jarach dalekich,
Sławcie życiodajną, świętą, wielką Radość życia.

S. M. T.

— Jak będę duży — ciągnął w alkierzyku Janek — odbuduję dom, mama pokaże mi, jak się robi, żeby róże rosły na ścianie aż do dachu...

— Pozwoliłby ci na to siel-sowiet! Taki wielki dom, dla nas! — powątpiewała Irka.

— Może coś się zmieni; nie będzie już siel-sowietu... Odbudujemy wszystko tak, jak Motra powiada że było...

Okrywająca starannie nakrywką maszynę do szycia — żywicielkę, matka, przystanęła znieruchomiała z nieznośnego bólu. — Tak jak było!... Ach, gdyby przeszłość mogła powrócić!... Gdyby wszystko to okazało się jeno złym, bogatym w doświadczenie snem... Inaczejby życie poszło... Lecz przeszłość się nie powraca...

Rozdział III.

Włodek oskrobał buty z lepkiej, ciężkiej gliny, w której grzązł na gościńcu prawie po kolana, wsadził ręce w kieszenie i pogwizdując ruszył ulicą powiatowego miasteczka. Była szeroka, brukowana, ale pusta. Rządkie błoto chlapało pod nogami. Stojące wzdłuż niej domy robiły wrażenie niezamieszkałych, mając okna pozawierane okiennicami i drzwi frontowe na głucho zamknięte. Skąpe, ledwo tlejące się życie przyczajone snać było od wewnątrz, drepczące nieśmiało wąskiemi ścieżynkami, wzdłuż chlewów i gnojówek kluczące ostrożnie ku „czarnemu wejściu". Bo od frontu, wiadomo, lepiej nie otwierać. Patrząc w perspektywę pustej ulicy, Włodek przypominał sobie jak przez sen, że wyglądało tu inaczej niegdyś, w czasach gdy rodzice zabierali go, małego bąka, do miasta jadąc po sprawunki. Powóz, wygodny, szeroki... Cztery tęgie szpaki zaprzężone w „poręcz"... Na koźle stary Jan, najlepszy przyjaciel... Fartuch skórzany wysoko zapięty... Błoto z miękkiem mlaskaniem uderzało o lśniące wachlarze powozu. Dzwonki miedziane, zwane „kwarty", kołaczą dźwięcznie w takt biegu. Na ulicy ruch. Podwody chłopskie, furmanki dworskie, cukrowniane, bryczki i „szarabany" sąsiedzkie... Sute baby w pstrych spódnicach i żółtych „czobotach", targują krzykliwie towary. Żydówki w atłasach i perukach, przysięgają się, że ze stratą sprzedają. Na straganach wielkie kawony podolskie, świeżo rozkrojone ociekają soczystością różowego mięsa upstrzonego czarnemi rodzynkami pestek. Obok cud dziecinnych oczu: drewniane, przemyślne zabawki, przez długobrodatych, dobrookich kacapów rzeźbione...

Gwizdnąwszy przeciągle, Włodek zastanowił się mimowoli, co było snem, a co rzeczywistością. Owe wspomnienia powstające z dna pamięci, czy otaczająca go wymarła pustka? — Skręcił w przecznicę, na której znajdowały się dwie kooperatywy sowieckie, jedyne istniejące w miasteczku sklepy. Łatwo je było rozpoznać zdala, bo przed każdą stał długi i cierpliwy ogon szaro ubranych postaci. Włodek splunął niechętnie i szybko przeliczył oczami stojących. W jednym „ogonku" było dwadzieścia osiem osób, — w drugim dziewiętnaście, stanął więc w tym ostatnim zrezygnowany. Tuż przed nim stara wieśniaczka w spłowiałym kaftanie, zmęczona i zasapana dmuchała ciężko w kark stojącej przed nią szczupłej, mizernej dziewczynie. Tę ostatnią Włodek znał. Była to panna Janina Widzka, nauczycielka szkółki powszechnej, przyjaciółka jego matki. Wytarty do cna płaszczyk nie chronił dostatecznie od jesiennego chłodu i drobne jej plecy wstrząsał ustawiczny przenikliwy dreszcz. Stare, rozdeptane trzewiki pełne były błota. Stała obojętnie, znużona. Wszyscy stojący przed nią byli podobnie znużeni, zobojętniali i szarzy jakąś spłowiałą szarością popiołu, w biernej apatji oczekującej kolei.



Skręcił w przecznicę, na której znajdowa'y się dwie kooperatywy sowieckie.

— Hospody! — jęknęła baba — wieleż czasu tu trzeba stać!

— A co wam potrzeba matko?

— Dwie świece i cukru dla dziecka, bo chore...

— Ja pończoch — szepnęła nauczycielka. Spojrzała mimowoli na swe nogi, odziane w zrudziałe pończochy, pokryte przedziwnie pracowitym haftem cer.

— Pończoch podobno niema, już wyszły — odwrócił się z informacją stojący przed nią rzemieślnik.

— Nie może być! — zawołała z przestrachem — przecież wczoraj ogłaszano że przyszedł cały transport...

— Przyjść przyszedł, ale już go komisarskie żony między siebie rozebrały...

— Oh Boże! a ja tu tyle czasu tracę!

— Zapytajcie się czy są...

Zdobyła się na odwagę, odchrząknęła i wspięła na palce.

— Towarzyszu! — zawołała ponad głowami stojących — czy dostanę dzisiaj pończochy?

Niechlujny, ospowaty urzędnik, obdzielający przy okienku klientelę, podniósł głowę.

— Przyjdzie twoja kolej, to się dowiesz! — burknął — patrzcie ją jaka burżujka! Może chciałabyś jeszcze wybierać!?

Kilkanaście par oczu odwróciło się nieżyczliwie i drwiąco ku „burżujce", która skuliła się zawstydzona i jeszcze bardziej, jeśli to było możliwe, zmalała.

Włodek nudził się potężnie i ziewał. Dla zabicia czasu obserwował manewra dwóch małych obdartusów-włóczęgów, plączących się pozornie bez celu w pobliżu „ogonka". Mieli blade, nabrzękłe twarze i złośliwe chytre oczy. Właśnie krokiem wyzwoleńca odchodził od okienka starszy jegomość, przyciskając mocno pod pachą zdobyty skarb: trzy metry taniego pasiastego perkalu. Ledwie uszedł kilkanaście kroków obaj malcy zabiegli mu drogę, żebrząc o datek fałszywie piskliwemi głosami. Odpędzał ich niecierpliwie, lecz w tejże samej chwili niby z pod ziemi wyroiło się ze sześciu podobnych urwisów. Zjawisko codzienne w Rosji sowieckiej, plaga miast i miasteczek, banda zdziczałych bezdomnych dzieci. Otoczyli swą ofiarę ciasnem kołem, skomląc coraz to natarczywiej, coraz zuchwalej i odciągając dalej, a dalej w głąb ulicy. Jegomość bronił się jak mógł, lecz w pewnej chwili wyrwano mu z ręki cenne zawiniątko. Gdy z krzykiem gniewu chciał się rzucić w pogoń, podstawiona zręcznie noga obaliła go w błoto. Zanim się podniósł, napastnicy pierzchli, jak stado wróbli, każdy w inną stronę. Zwabiony krzykiem milicjant słuchał żalów jegomościa ze znudzoną obojętnością. Gonić urwisów? Łatwiej dogonić wiatr w polu.

Włodek patrzał na tę scenę rozśmieszony. Tymczasem zbliżyli się już prawie do celu. Stojąca przed nim babina wysupływała z chustki wymięte papierki. Panna Widzka nieśmiałym głosem poprosiła o pończochy.

— Wyszły już, — przyjdzie nowy transport za cztery tygodnie — odparł sprzedający spoglądając na nią pogardliwie.

— Przecież wczoraj podobno nadeszły?!... — szepnęła prawie z rozpaczą.

— Cóż z tego!? Nadeszły, ale już wyszły! Nie zabieraj darmo czasu!

Odeszła cicho z trudem wstrzymując się od łez. Szczęśliwsza od niej baba zdobyła świece i cukier. Teraz podsunął się żywo do okienka Włodek.

— Ja komsomoł — rzekł wyniośle, wskazując ręką czerwoną odznakę.

Urzędnik przyoblekł twarz w coś co uchodzić mogło od biedy za uśmiech, komunistyczny związek młodzieży bowiem przyszłość sowieckiego ustroju, posiadał wszędzie wielkie przywileje. Włodek lekceważącym głosem wyliczył matczyne i swoje sprawunki: nici czarnych i białych, igieł, soli, cukru i tytoniu.

— Może wam jeszcze co trzeba? — pytał uprzejmie urzędnik. — Może pończoch albo kołnierzyków?

— Są pończochy? — zadziwił się Włodek.

— Mamy jeszcze kilka par... trzymamy je dla swoich... rozumiecie? — błysnął porozumiewawczo okiem — nie potrzeba?

— Nie, dziękuję — odparł Włodek. Przemkło mu wprawdzie przez głowę, by kupić jedną parę i odstąpić pannie Widzkiej. Odchodziła taka zmartwiona, w swych pocerowanych, rozlatujących się pończocach! Lecz wnet roześmiał się sam ze siebie. Jeszcze też! Dowiedzieliby się o tem wszyscy. Taka rzecz się nie ukryje. Sergjusz Antonowicz, prezes Komsomoły, wydrwiłby słusznie „polskie, pańskie fanaberje".

Zadowolony ze szczęśliwego załatwienia sprawunków, mając przed sobą kilka godzin czasu, poszedł do Komsomoły. Był to rodzaj klubu i uczelni zarazem. Wydawano tam również kiepskie lecz lepsze niż gdzieindziej i tańsze obiady, złożone z krupniku jaglanego i glonu chleba. W czwartki i ważniejsze uroczystości sowieckie w krupniku zdarzał się ochłap mięsa. Przynęta nielada! Pozatem w lokalu leżały stosy gazet, różnych tytułem a bliźniaczo podobnych treścią, broszury agitacyjne i niewybredne powieści. Funkcjonowało zgrzytliwie radjo.

Na wykładach „politgramoty" objaśniano młodzież o korzyściach płynących z błogosławionego ustroju sowieckiego, o ciemnocie i niedoli państw „burżuazyjnych", trzymanych dotąd w petach religji i kapitału, dla których to jednak państw światło swobody sowieckiej zajaśnieje lada dzień. Najdłużej i najobszerniej mówiono o Polsce. Znienawidzona sąsiadka była przedmiotem specjalnie zgryźliwych ataków. — W ustach Sergjusza Antonowicza lub Mikołaja Iwanowicza stawała się ona uosobieniem wstecznictwa, wyzysku i wstrętnego barbarzyństwa. Ze specjalnym naciskiem zwracali się do Włodka, winszując mu, że szczęśliwszy od swoich rodaków, może być poddanym szlachetnej i potężnej republiki sowieckiej. Ciekawe spojrzenia słuchaczy skierowywały się wtedy na chłopca, który prztykał palcami pod ławką, trochę dumny z wyróżnienia, trochę zirytowany, chociaż sam nie wiedział czemu.

Dzisiaj nie było w klubie wykładów. Ruch panował i zgiełk, nazajutrz wieczorem bowiem odbyć się miało przedstawienie z racji przyjazdu delegatów z kijowskiego „Gubono" czyli Gubernialnego Wydziału Oświaty. Przygotowania trwały w całej pełni. Koledzy Włodka opowiedzieli mu pokrótce treść sztuki. Miała to być wzniosła alegorja przedstawiająca zwycięstwo myśli sowieckiej nad przesądami zgubnemi religji. W zakończeniu Bóg-Stwórca zrzucony ze swego przedwiecznego tronu uznawał się za pokonanego przez reprezentantów R. S. F. R.

(C. d. n.).

Zofja Kossak-Szczucka.

W CZASIE BURZY.

6) *Opowieść z niedalekiej przeszłości.*

— Dobrze — rzekła Tola, rada z odwrócenia myśli od smutnego tematu — tylko nie wiem, czy ci dogodzę. Nie układałam nigdy miłosnych listów — żartowała.

— I... aby ino trochę, ze mi go skoda, ze chciałabym, żeby przyjechoł i pokłonienie — mówiła rozczerwieniona.

Prócz tego listu musiała Tola przygotować inne do swej rodziny w Warszawie. Potem pani Rawicka wysłała ją do czworaków na pogawędkę z kobietami. Czytała im odezwę z „Kurjera" i zachęcała do pomocy dla „Czerwonego Krzyża."

Dopiero nad wieczorem mogła wybrać się na dalszą przechadzkę. Była znużona ale bardzo rada. Tą pogadanką spełniła maleńki czyn obywatelski. Przyczyniła się do uświadomienia chłopów, pobudziła do ofiarności. Wiele kobiet obiecało dać składkę na szpital i trzy dziewczyny ofiarowały się wraz z nią i panią Rawicką szyć bieliznę dla rannych żołnierzy.

— Każdy, każdy powinien dać coś z siebie — myśli Tola.

Wpadła w smutną zadumę. Myśli wyrywały się do tych, którzy poszli dać wszystko, bo swoje młode życie.

Stefan, Jędrek, Jerzy...

A przecież takich, jak oni, tysiące...

Był ponury, szary dzień. W brudnych chmurach, wiszących tuż nad ziemią, skradał się deszcz. Nad polami unosiła się nudna melancholja, lasem płynął wiatr. Kołysały się wierzchołki drzew w monotonnym poszumie, jedne drugim zwiastując niepokój, jakby przeczucie burzy...

Nagle w głuszę tę wpadł brutalnie łoskot, szum i przeraźliwe gwizdnięcie lokomotywy.

Tola dopiero teraz spostrzegła, że doszła aż do toru kolejowego.

— Wiozą rannych do Warszawy — pomyślała, patrząc ze współczuciem na jadących żołnierzy. Stali w oknach z obandażowanemi głowami, z rękami na temblakach. Młode, często dziecięce ich twarze, przedwcześnie wykrzywione bólem, robiły tragiczne wrażenie.

W ostatnich wagonach towarowych widać było ciężej rannych, leżących pokotem. Doleciał przejmujący jęk bólu, mignęły trzy drewniane trumny na dachach wagonu...

Tola ukryła twarz w dłoniach. Słuchała terkotu oddalającego się pociągu z sercem ściśniętem, pełna niedoznawanych dotąd wrażeń.

Groza i tragizm wojny po raz pierwszy tak dojmująco nią wstrząsnęły.

Zaczęła iść wolno wzdłuż toru. Zdawało jej się, że patrzą na nią jakieś zimne, nieubłagane oczy; w szumie lasu, w krakaniu wron słyszała jeden okrzyk:

— Śmierć.

Często jedna chwila w życiu człowieka, jedno gorętsze drgnienie serca więcej znaczy, niż całe tygodnie powtarzane teorje.

Tola wiedziała, że wojna to morderstwo, ból i śmierć, ale nigdy nie odczuła tego tak żywo.

Bohater! — Teraz dopiero w całej pełni zrozumiała ten wyraz, teraz dopiero wyszeptała go ze łzami prawdziwego wzruszenia.

W tej jednej chwili żołnierz polski stał się dla niej czemś drogiem, dla którego można oddać wszystko, nietylko jakąś marną składkę, nietylko czas na szycie bielizny — trzeba poświęcić siebie.

Czem dla tych nieszczęsnych są siostry miłosierdzia — pojęła teraz nie w obojętnem potwierdzeniu ogólnych frazesów, lecz głębią mocno bijącego serca.

To, co słyszała o poświęceniach dziewcząt, wydało jej się teraz prostym obowiązkiem.

Do „czołówki" na front nie ma dosyć siły, ale może pracować w szpitalu. Czytała o tem, że ranni często są pozbawieni

dostatecznej opieki. Iluż umiera z braku dozoru...

Hańba! Wstyd!

Tak, zaraz wyjedzie do Warszawy, aby skończyć kursa sanitarne. Matka, ta najzacniejsza z matek, napewno sprzeciwiać się jej nie będzie. Na dnie duszy nieśmiało podnosi się żal za dobrowolnie utraconą możnością podziwiania cudów natury na wsi. Poczucie obowiązku stłumiło z bezwzględnością ten odruch egoizmu i Tola zupełnie już zdecydowana, wyprostowała się, jakby ciężar smutku, gniotący jej serce, zmniejszył się nagle.

Rozdział IX.

Odjazd Toli sprawił ogromną przykrość pani Rawickiej. Serdeczna dziewczyna była jej niemałą pociechą. Teraz nie miał jej kto uspokajać, odsuwać złe przeczucia.

Dziedzic, będący nietylko Polakiem i ojcem, ale także gospodarzem z zamiłowania, miał wiele innych kłopotów, niepozwalających mu rozczulać się nad łzami żony.

Pewnego dnia, gdy pani Rawicka z Madame, Haneczką i kilkoma dziewczętami zajęta była w szwalni, wszedł dziedzic mocno wzburzony.

— Co ci jest, Andrzeju? — Z obawą spojrzała w zagniewaną twarz męża.

— Dajcie mi jeść — odparł szorstko. — Zaraz jadę do gminy.

Ewka rzuciła szycie i popędziła do kuchni, a pani Rawicka, prowadząc męża do jadalni, spytała:

— Czy dostałeś jakie urzędowe wezwanie?

Usiadł ciężko i wyjął papierosa.

Oddał prawie wszystkie konie, ale z ulubioną klaczą wierzchową trudno mu się było rozstać.

— Do licha! Niedość im fornalskich koni! Całą stajnię zabiorą.

Pani Rawicka uśmiechnęła się blado.

— Mój drogi — rzekła — cóż znaczy strata konia wobec tego, że nasi chłopcy są w niebezpieczeństwie. Dla nas już niema żadnej większej ofiary.

— No tak, ale mi gospodarstwo upada. Większość fornali w wojsku, konie co lepsze wybrali, siano rekwirują... Ja wiem, że to dla Ojczyzny, ale człowieka jednak gnębi. Niedługo Borowie djabli wezmą i trzeba będzie iść z torbami! — unosił się dziedzic.

— Może Bóg da, że wyrównają się straty. Byle tylko chłopcy wrócili... Jakie wiadomości z frontu? Czy masz dzisiejsze gazety?

— Coraz gorzej, nasze wojska muszą się cofać ciągle...

Westchnęli oboje. Męcząca zmora strachu zbliżała się ciężkim krokiem...

. . . .

W tym samym czasie w Warszawie panował względny spokój. Niektórzy wprawdzie doceniali wielkość niebezpieczeństwa, ale ogół nie przeczuwał grozy położenia. Byli i tacy, którzy wcale o losach walki nie myśleli. Do takich należała krewna państwa Rawickich, pani Szorska. Wdowa po bankierze żyła z pozostałych kapitałów, o nic się nie troszcząc. Celem jej życia było wyeduk wanie, a teraz wydanie zamąż jedynej dwudziestodwuletniej córki, Wandzi, która w oczach kochającej matki była pod każdym względem ideałem.

Pewnego dnia Wandzia, nudząc się, jak zwykle, siedziała na kanapce. Na kolanach jej leżał tom powieści i pilnik do „manicure." Przeciągając się i ziewając wodziła wzrokiem po komfortowo urządzonym saloniku. Po chwili otworzyła porzuconą książkę: „...oczy błysnęły dziko. Leontyno, kocham cię"...

— E! zawsze jednakowy koniec! Już dość mam tych czułości!

Odrzuciła książkę i znów zaczęła ziewać.

— Ach, jakie nudy. Okropność... Mama też niepotrzebnie zgodziła się pójść na to zebranie... Szkoda, że zostałam w domu — myślała. — Ale co mnie mogą obchodzić jakieś tam kantyny dla żołnierzy. Bal dobroczynny to jeszcze rozumiem, ale te ciągłe zebrania...

Żeby chociaż kto przyszedł...

W tej chwili, jak na zawołanie zadźwięczał dzwonek.

Zerwała się z kanapki, biegnąc do lustra.

Weszła pokojówka i podała bilet wizytowy:

— „Jerzy Harlicz"...

Stanęła jej we wspomnieniu postać eleganckiego młodzieńca. Przelotna znajomość z lekcji tańca. Uprzejme słówko. Fox-trot... One-step...

— Poproś!

Usiadła na kanapce, przybierając wdzięczną pozę.

Po chwili stanął w drzwiach Jerzy, zmizerowany i smutny.

— Bardzo mi przyjemnie — słowom tym Wanda usiłuje nadać ton konwencjonalny, ale z pod przymrużonych powiek i kącików ust wyrywa się daremnie skrywany uśmieszek zadowolenia.

— Proszę, niech pan siada.

Zaczęła się banalna rozmowa.

— Jak pani spędziła lato?

— Jestem wprost wściekła, że trzeba było wracać. Właśnie organizowała się wycieczka i trzy bale... A pan?

— Ja przebywałem u kolegi na wsi.

— To zapewne brakło panu towarzystwa panien?

— O, nie, bawiła tam kuzynka tych państwa, bardzo rozsądna i miła.

— Rozsądna... to znaczy nieładna, czy tak?

Poczuł na sobie badawcze spojrzenie dużych niebieskich oczu.

— Owszem, dosyć sympatyczna blondynka — odparł, lecz spostrzegłszy niezadowolenie na ślicznej twarzyczce, dodał szybko:

— Ale ja wolę szatynki.

Uśmiechnęła się i poprowadziła dalej typowo „salonową" rozmowę. Jerzego nudziło to widocznie. Poruszał się niespokojnie, z roztargnieniem potakując szczebiotaniu panienki.

Spostrzegła to wreszcie.

— Nie interesuje pana nasz bal w Zakopanem? — spytała w najwyższem zdumieniu.

— Owszem, tylko...

— Pan nie w wojsku? — rzuciła nagle pytanie, dopiero teraz przypominając sobie zobowiązania wszystkich studentów.

Jerzy zmieszał się.

— To jest... właściwie... dotąd chorowałem... Pani nie wie, że ja mam wadę serca — mówił, udając, że nie spostrzega ironicznego uśmieszku Wandy.

— Powinien więc pan starać się o zwolnienie.

— Teraz trudno bardzo je uzyskać. Lekarze nie chcą uznać choroby. Trzeba mieć protekcję. Ja właśnie do pani chciałem udać się z prośbą.

Przerwał, zrażony jej nadąsaną minką.

Nie podobało jej się to. Myślała, że przyszedł dla niej, a to tylko osobisty interes... Odmówić mu, odepchnąć, — było pierwszą myślą. Ale po chwili milczenia odezwała się łaskawiej.

— Słucham.

— Wojskowy lekarz X., od którego wiele zależy, jest stryjem pani, więc...

— Mam się wstawić za panem? To nie będzie łatwo. Stryj wprawdzie ma do mnie wielką słabość, ale pod względem uczciwości jest pedantem. Wątpię, czy da świadectwo bez koniecznej potrzeby.

Jerzy zaczął nalegać, a tak umiał prosić, że wkrótce przełamał słaby zresztą opór panienki.

Przyrzekła solennie użyć swego wpływu.

Poweselał odrazu. Rozpogodziło mu się czoło, oczy nabrały blasku.

— Panno Wandeczko — mówił — wdzięczny będę do śmierci. Gotów jestem uczynić wszystko, czego pani zażąda.

— Żądam, aby pan przyszedł jutro na herbatkę.

— O, co za rozkoszne zadośćuczynienie.

Roześmieli się oboje. Wandzia wpadła w doskonały humor i zaczęła wesoło rozprawiać.

Jerzy wyszedł z nieokreślonem uczuciem.

Zdawało mu się, że ciężar od dłuższego

czasu gniotący mu piersi, spadł nagle, ale wcale nie było mu lekko.

W rozdrażnieniu zeskakiwał ze schodów, zły na cały świat i na siebie.

Wanda, pozostawszy sama, podbiegła znów do lustra i, poprawiając włosy, myślała:

— Jutro włożę tę nową sukienkę.

Rozdział X.

W miarę przedłużania się jazdy, stygł zapał wojenny Jędrka, ustępując znużeniu. Świadomość zbliżania się upragnionej chwili nie zdołała odpędzić odrętwienia. „Na front" — to nie pęd krótki, a radosny, to długa monotonja posuwania się armat, szczęk żelastwa, kurz, słońce, deszcz i zmęczenie.

Inaczej to sobie wyobrażał...

Spojrzał po towarzyszach. — Ogólne wyczerpanie. . Stefan przechylił się na kulbace i drzemie. Obok chwieją się bezwładnie nogi Franka, przytulonego do armaty. Ziewa szeroko, z rezygnacją podskakując na wyboistej drodze.

Zagadnięty roześmiał się do Jędrka.

(C. d. n.). *Alina Kwiecińska.*

2) # Z DZIENNIKA OKRĘTOWEGO.

Znalazłem się na placu Piccadilly w centrum miasta, i choć ruch w całym Londynie wieczorem zamiera dość wcześnie, około godz. 10½—11, to jednak tu życie wre do późnej nocy. Dzielnica pierwszorzędna.

Magazyny, hotele, cukiernie, teatry. Na ścianach i dachach wysokich domów, zmieniając co chwila barwy, migają reklamy świetlne z artystycznie ułożonych lampek kolorowych.

Reklama papierosów „Army-Club" przedstawia oficera w czapce i monoklu, który paląc zaciąga się i puszcza z papierosa lekki dymek (zrobiona wprost artystycznie!).

Wchodzę do magazynu Lyons'a. — Gmach kolosalny. Cały parter magazynu zajmują lady aż do podłogi, założone owocami z różnych stron świata, leżą słodycze o najwyszukańszym smaku. Dalej idzie się do olbrzymiej sali restauracyjnej, gdzie można dostać tylko lekkie, gorące przekąski. Na I piętrze kawiarnia bez orkiestry, na II-iem i z orkiestrą, na III-iem i IV-em i dalej już nie wiem co. Wszędzie pełno ludzi.

Co do pieniędzy, miar i wagi, to w Anglji panuje staroświecki system.

Jeden funt szterling (43 złote 50 groszy) = 20 szylingom, a jeden szyling = 12 pensom. Zaś 21 szylingów nosi nazwę jednej gwinei, a 5 szylingów — jednej korony. Poco ta gmatwanina — nie wiem. Z miarami i wagą dość miałem kłopotu zanim przywykłem.

Na ulicy czekają sznury aut, pośród których stał jeden jedyny dorożkarz konny, t. zw. „cab". Dwukołowa karetka z wysokiem siedzeniem dla stangreta z tyłu, zaprzęgnięta w jednego konia. Właściciel jej „ostatni z mohikanów", z fajeczką w zębach, dumnie spoglądał na otoczenie, jakgdyby się szczycił swem osamotnieniem.

Idę dalej. Przy drzwiach teatru długa kolejka, a tuż przed nią na bruku jakiś aktor uliczny w peruce i staroświeckim fraku odtwarza scenę z dramatu, czasem się rzuca i gestykuluje, czasem śpiewa. Tuż i kasztany pieczone — po 2 pensy torebka. Opodal na chodniku przy latarni grono porządnie i poważnie ubrany protestantów przy dźwiękach harmonji śpiewa psalmy. Czasem i często nawet skrajna nędza przeziera, gdyż nie brak i pań i starców sprzedających zapałki. W Anglji żebrać nie wolno, każdy musi pracować. A więc mierny artysta, rzucony na dno nędzy, na kamieniach chodnika tworzy obraz kredkami barwnemi

i czeka pod ścianą na kilka pensów „zapłaty."

A auta jadą i jadą, wszystko wre i tylko rośli policjanci na skrzyżowaniach ulic spokojnie stoją, kierując tym szalonym ruchem.

Mojem marzeniem było zobaczyć Brytyjskie Muzeum. To też wybrałem się doń nazajutrz, by obejrzeć najbogatszy w świecie zbiór starożytności.

A więc wykopaliska egipskie z przed 3000 lat aż do naszej ery: mumje, sarkofagi, instrumenty muzyczne, narzędzia, ubiory, papirusy pokryte hieroglifami, w których jakby zaklęte zostały tajemnice, dzis już odczytane przez pilnych i niestrudzonych egiptologów.

Dalej kultura Asyrji i Babilonu, całe olbrzymie kilkumetrowej wysokości kamienne płyty z pismem klinowem i rzeźbą „żywcem" wypiłowane ze ścian i przewiezione tu nad brzegi Tamizy.

Dalej starożytności hebr., greckie i rzymskie. Posągi, malowidła rzymskie, uprząż, urządzenie domów, magazynów, warsztatów. Zdaje się do najdrobniejszych szczegółów odtworzono tu życie antyczne, które próżnoby sobie człowiek starał się wyobrazić na nudnych często lekcjach łaciny gimnazjalnej.

Jest tu specjalny dział tak zwany „Rzym brytyjski" — pamiątki pozostałe po ciemiężcach Anglji. Jeszcze dalej starożytności pierwszych czasów chrześcijaństwa. Jest też ogromny zbiór rękopisów, ksiąg, monet, pieczęci.

Zbiory etnograficzne Azji, Afryki, Ameryki i Australji... Oczy się rozbiegają, wreszcie zdolność przyjmowania wrażeń tępieje, głowa poczyna krążyć i trzeba czemprędzej opuszczać gmach.

Wtedy zwykle wpadałem do małej herbaciarni, gdzie za szylinga można dostać doskonałej herbaty wraz z sandwiczami.

Zdarzało się, że właściciel takiej herbaciarni, Włoch, mówił po polsku, gdyż jako jeniec wojenny, nauczył się tego podczas pobytu w Galicji.

Gdy wreszcie znalazłem się znów na statku i po rzetelnym śnie przetarłszy oczy ujrzałem przez uchyloną firankę bezbrzeżny przestwór wodny, poczułem się „jak w domu." Baltrigier w nocy podjął kotwicę i ruszył w drogę do Libawy, prowadzony przez pilota daleko poza ujście Tamizy.



Muzeum Brytyjskie w Londynie.

Lubiłem tych ludzi — prawdziwych wilków morskich. Zwykle wsiadali oni na 5 godzin przed Londynem. Piloci to typy o żelaznem zdrowiu, odważni, małomówni, całe życie spędzają na morzu. Z ich czerwonej, błyszczącej, przyjaźnie uśmiechniętej twarzy, błękitnych oczu, z pod gęstych brwi bije prostota, spokój i zdecydowanie.

Znają oni świetnie mielizny i głębie przybrzeżne, wiry i prądy — jak swoją kieszeń, to też każdy statek, wchodzący lub wychodzący z portu, bierze pilota by się zabezpieczyć od katastrofy.

Gdy zaś statek wypłynie na szerokie wody, na chwilę wstrzymuje maszynę, pilot po drabince linowej złazi do oczekującej nań łodzi i po okrzyku „ol rajt" oddala się w kierunku swego jachtu, kołyszącego się na kotwicy.

Przy śniadaniu zauważyliśmy zniknięcie kota. Widocznie kocisko, schodząc na ląd, nie zauważył tablicy wywieszonej dla pasażerów i nie przeczytał,

że statek odpływa o takiej to godzinie. Naturalnie pozostał w Londynie. Ale kapitan twierdzi, że kot nasz wsiądzie na inny statek i popłynie w innym kierunku.. Wogóle koty okrętowe — jest to specjalny gatunek kotów. Podróżują one przez całe życie. Jeśli spóźni się na swój statek, włazi na inny, gdzie jest zawsze mile przyjęty, wybierając sobie najwygodniejszy kąt. W taki sposób objeżdża czasem całą kulę ziemską. — Później w Gdańsku wsiadły dwa nowe koty, z których jeden był nawet bardzo rasowy.

(C. d. n.) *Dr. B. Kalitowicz.*

CHIŃSKI MUR.

Słyszymy często o chińskim murze, ale zazwyczaj wyobrażamy sobie, że otacza on całe państwo chińskie. Tak jednak nie jest; chińskie mury ciągną się tylko granicą północną. Mongołowie, od których Chińczycy odgrodzili się murem, nazwali go „Białą ścianą"; zaś w chińskim języku zwie się „Wan-li-tszang-tszeng" — czyli mur 10 tysięcy mil. Ponieważ chińska mila liczy 1/2 km., więc w rzeczywistości długość jego wynosi około 5000 km., miejscami jednak jest on podwójny i potrójny.

Podróżnicy, zwiedzający Chiny, mówią, że widok tych murów masywnych, olbrzymich, wraz z dziwacznemi bramami, wywiera niezapomniane wrażenie. Jak olbrzymi wąż, wije się on przeważnie górzystą granicą, wspinając się po stromych zboczach, biegnie ponad przepaściami, to znowu głębokiemi dolinami, zdaje się być zawrotnie nieskończony... Ten najciekawszy zabytek historji kultury ludzkiej, największy mur obronny na świecie jest symbolem zamknięcia się Chin całemi wiekami od reszty świata. Dziwaczny ten naród, o obcych dla nas zwyczajach, zaczyna się jednak modernizować, a pierwszym dowodem tego jest rozporządzenie rządu, aby zniszczyć mur chiński. Kiedy i jak on powstał? Historja jego początków sięga czasów przed Chrystusem.

Najstarsze pergaminy mówią, że ludność Chin i Mongolji zrazu koczownicza, już w zamierzchłych czasach zaczęła się dzielić na szczepy pasterskie, koczownicze i szczepy osiadłe, uprawiające ziemię. Według tych dokumentów ludność osiadła w Chinach już na 1000 lat przed Chrystusem, umiała nawodniać jałowe ziemie i znała się na uprawie jarzyn. Chińczycy należą do najpracowitszych narodów, toteż to zapobiegliwe mrowie ludzkie zmieniło zczasem obsiadłą ziemię, stwarzając z jałowych pustyń uprawne przestrzenie. Na taki zagospodarowany kraj musiały z zazdrością patrzeć, dzikie, koczownicze narody, żyjące tylko z polowań i pasterstwa. I nie dziw, że korzystali z sąsiedztwa, napadając i rabując plony Chińczyków, ci zaś starając się obronić owoce swej pracy, odgradzali się wysokiemi wałami i rowami. To była pierwsza myśl muru chińskiego.

Pierwsze mury z gliny powstały za panowania dynastji Tszu przed Chrystusem. Z wieku na wiek mur przybierał na mocy i na długości, posuwając się wzdłuż północnej granicy. Powstawały mury z granitu, porfiru, wreszcie z palonej cegły, miejscami wysokie na



Chiński mur.

11 metrów, a szerokie na 6 metrów. — Z czasem przybyły wysokie wieże strażnicze, blanki i strzelnice.

Niezawsze jednak mury pomagały; wiemy, że często wewnętrzne zamieszki osłabiały państwo chińskie, że kilkakrotnie podpadało ono pod rządy obcych dynastyj; jednakże w czasach azjatyckiej wędrówki ludów, żadne z obcych, barbarzyńskich plemion nie przedarło się z północy do Chin. Dzięki temu prastara kultura Chin utrzymała się w całości. Ostatnie mury i ich wzmocnienia wykonano za dynastji Ming (1368—1644). Potężne, zbudowane solidnie mury ochronne trwają niewzruszenie do dzisiaj, teraz jednak padł wyrok ich zagłady. Zniszczeje jedno z najciekawszych dzieł obronnych świata.

Dziwiono się nieraz, czemu Chińczycy osłaniają tylko jedynie północną granicę murem i to często podwójnym i potrójnym. Oto mur chiński, poza strategicznem znaczeniem, ma jeszcze i religijne. Według wierzeń Chińczyków z północy płyną wszelkie złe moce, wszelkie złe duchy, a mur chroni je od tego. To jest też powodem, że wszystkie budowle chińskie zamknięte są od północy.

Z. Kr.

JUŻ KWITNĄ SADY.

Już kwitną sady — jabłonie grusze —
Na śliwach okwiat miękko się srebrzyści —
Otwórzmy serca i otwórzmy dusze
Na cud, co w oczach naszych dziś się iści.

Bądźmy radośni jak kwitnące grusze,
Bądźmy weseli jak jabłonie, śliwy —
Zabierzmy w oczy i zamknijmy w dusze
Wiosny poranek szczęśliwy.

M. Czerkawska.

SZKOŁA PRACOWNIC SPOŁECZNYCH.

Kiedy w odrodzonej Polsce otworzono dla kobiet podwoje wyższych uczelni, pospieszyły one do nich tłumnie, wstępując na wszystkie wydziały, nie zwracając uwagi, czy po skończeniu studjów da im to możność pożytecznej pracy. Po kilku latach nastąpiła chwila refleksji i dziś coraz częściej słyszymy zdanie, że kobieta obdarzona, w ogólnej biorąc masie, różnemi od mężczyzny zdolnościami i odmienną psychiką, powinna obejmować przedewszystkiem te placówki, na których może cenne właściwości swego serca i umysłu rozwinąć. Placówek tych, wymagających kobiecej ręki, kobiecej sumienności, pracowitości, a na pierwszym planie ideowości, przybywa coraz więcej.

Olbrzymim działem pracy, który stoi przed kobietami otworem, a nie jest jeszcze dostatecznie przez nie oceniany, to dział pracy społecznej. Praca społeczna przestała dziś być traktowana jako filantropja, wypełnienie czasu osób bogatych, stała się poważną dziedziną życia. Dzieląc się na dwa wielkie działy: 1) pracę kulturalno-oświatową i 2) opiekę społeczną, często bywa traktowana tylko jako fach, dający utrzymanie, a sama praca bywa uważana jako cel sam w sobie, t. j. zaradzenie doraźne jakiejś potrzebie społecznej i nic więcej. Dla katolika, pamiętającego, że pierwszy w dziejach świata Kościół, wcielając w życie nakaz miłości bliźniego, podjął pracę społeczną, uświadamiającego sobie, że prócz pomocy materjalnej, doraźnej, ważniejsze jest oddziaływanie na dusze ludzkie, ich uszlachetnienie, do osiągnięcia zaś tego celu praca społeczna służy jako środek, dla katolika, powtarzam, nie będzie to tylko fachem, do którego ma zdobyć pewną sumę wiadomości teoretycznych i praktycznych, ale będzie powołaniem, do wypełnienia którego trzeba ukształtować charakter i serce, wyrobić jasny, na zasadach Chrystusowych oparty światopogląd, aby sam nie zbłąkał się na manowcach życia i masy, nad któremi ma pracować, umiał na pewną drogę wprowadzić.

Na Zachodzie dawno to zrozumiano i powstały liczne szkoły społeczne, przygotowujące zastępy młodzieży do tej pracy. Dziś jest już ich przeszło 100, z których 25 o wyraźnem obliczu katolickiem należy do Katolickiej Międzynarodowej Unji Szkół Społecznych.

Rozumiejąc potrzebę dostarczenia Polsce ideowych, a jednocześnie wykwalifikowanych pracowniczek narazie w dziedzinie kulturalno-oświatowej, Polska Macierz Szkolna, stojąca zdecydowanie na gruncie narodowym i katolickim, otworzyła 3-go września 1928 r. w Warszawie Szkołę Pracownic Społecznych. Ma ona na celu kształcenie bibljotekarek, pracownic księgarń, sekretarek instytucyj społecznych. Rozumiejąc, że w pracy społecznej nie potrzeba bezdusznej formalistyki biurowej, ale pracy żywej, twórczej, że bibljotekarka na wsi lub w miasteczku ma stworzyć ognisko oddziaływania kulturalnego, wszystkie słuchaczki szkoły muszą się wyszkolić na ideowe, świadome celu instruktorki oświatowe.

Kurs nauki jest dwuletni. Kurs pierwszy poświęcony jest przedmiotom ogólno-kształcącym w pracy społecznej, na drugim następuje specjalizacja połączona z praktyką. Od kandydatek wymagane jest świadectwo z ukończonych sześciu klas szkoły średniej, tak ogólno kształcącej, jak zawodowej, szczera chęć do nauki i zamiar poświęcenia się pracy społecznej. Słuchaczki odbywają szereg wycieczek do instytucyj społecznych i oświatowych, chodzą na odczyty, zjazdy, z których muszą składać sprawozdania. Wykłady prowadzone są przez fachowców, przeważnie asystentów wyższych uczelni. Dyrektorką jest niżej podpisana, sekretarką i wychowawczynią hrabianka Zofja Zamoyska, absolwentka Szkoły Społecznej w Brukseli. Samorząd szkolny prowadzi sekcję samokształce-

niową, samopomocową, rozrywkową, wypożyczalnię podręczników. W bieżącym roku szkolnym na 1-szym kursie słuchaczek jest 47, panuje między niemi harmonja i koleżeńska pomoc. Szkoła narazie mieści się w lokalu wynajętym, przy ul. Złotej 14 m. 14, a za lat parę przy Bożej pomocy przeniesiona zostanie do własnego gmachu Polskiej Macierzy Szkolnej, gdzie będzie połączona z internatem.

Ogromne zainteresowanie, jakie wzbudziła szkoła, liczne listy domagające się przysłania programu, świadczą, iż społeczeństwo docenia wagę podobnej placówki, że była istotna potrzeba podobnej uczelni. Mamy nadzieję, że i młodzież żeńska zrozumie, iż niekoniecznie trzeba szukać drogi pożytecznej pracy przez studja wyższe, które łatwo zacząć, ale znacznie trudniej skończyć, że dziś Polska czeka na ofiarne, ideowe przygotowanie pracownic, które mają siać po ugornych jeszcze polach duszy wieśniaczej czy robotniczej zdrowe ziarna ukochania Boga i Ojczyzny, które staną nieustraszenie do walki o duszę narodu przeciw tym, co ją chcą zatruć, które, pamiętne na zasługi kobiety polskiej w niewoli, przez zdrową oświatę, przepojoną hasłami Chrystusowej miłości, budować będą Polskę szczęśliwą i potężną!

Dr. M. Śliwińska-Zarzecka
dyrektorka Szkoły Pracownic Społecznych Pols. Mac. Szkol.

Program wykładów obejmuje następujące przedmioty:

(Cyfry oznaczają ilość godzin tygodniowo).

Apologetyka 2, Literatura polska XIX w. 2, Język polski 2, Historja Polski 3, Nauka obywatelstwa 2, Prawo cywilne 2, Ekonomja polityczna 2, Psychologja 2, Pedagogika 2, Geografja gospodarcza 2, Hygjena 2, Księgowość 2, Zadania pracy społecznej 1, Język francuski 4, Seminarjum społeczne 2.

Oprócz wykładów ogólnych na drugim kursie będą wykładane przedmioty specjalne dla poszczególnych zawodów.

Rok szkolny jest podzielony na 2 semestry, zimowy i letni i trwa od 1-go września do 30-go czerwca.

Warunki przyjęcia: Ukończenie przynajmniej 6 klas średnich zakładów naukowych. — Wiek: od skończonych lat 16 do 25.

Po ukończeniu szkoły i złożeniu przepisanego egzaminu słuchaczki otrzymują dyplomy, uprawniające do objęcia odpowiedniego stanowiska. Osoby nie posiadające wymienionych studjów, mogą być przyjęte na kurs w charakterze słuchaczek nadzwyczajnych z prawami do składania przepisanych egzaminów i otrzymania dyplomów.

Opłaty dla słuchaczek zwyczajnych i nadzwyczajnych wynoszą: wpisowe jednorazowe 20 zł., opłata miesięczna 60 zł.

Przy wpisie należy złożyć: 1) metrykę, 2) świadectwo szkolne, 3) 20 zł. wpisowego, 4) deklarację wypełnioną przez rodziców lub opiekunów, 5) kwestjonarjusz.

Szkoła jest koncesjonowana przez Ministerstwo W. R. i O. P. (rozporządzenie z dn. 25/VI. 1928 r. Nr. III. Z. 5803/28) i korzysta z praw (zwroty opłat, zniżki kolejowe i t. d.) przysługujących szkołom posiadającym prawo publiczności.

IDZIE WIOSNA.

Już spłynęły śniegi i powoli opadają wody w rzekach i strumieniach, zostawiając szeroko pasy namułu — ślady niedawnej powodzi.

Od świtania dzwonią z wysoka skowronki, a czajki nad rzekami wywracają poraz setny swe koziołki.

Chłopcy z przejęciem wypatrują, kiedy na przygotowanem zawczasu z zużytej brony gnieździe, z takiem trudem osadzonej na starej sokorze, ukaże się czerwononogi gazda-bocian. Spóźnia się czegoś latosiej wiosny.

A wiosna idzie — już pachnieć poczynają czarne skiby zagonów pługiem świeżo ruszone, już wonie przedziwne wieczorami biją w nozdrza, już ucho podchwytuje pierwszy przyśpiew weselny, który idzie powietrzem coraz cieplejszem. — Kuropatwy nawołują



...i źrebaki czują wiosnę!

się. — Zajęczyna trwożliwie wyprowadza na żer „dworczaki".

Po obejściach wiejskich też gwar rośnie. Otrząsnęli się wszyscy z martwoty zimowej, poczuli bijącą radość życia w sobie, z rozdźwiękiem zrywają się do pracy, z pieśnią ciągną w pole. Jeszcze w niżnych miejscach koń się zapada w wilgocią nasiąkłej ziemi, ale po górkach brony zdążyły przykryć pierwsze zasiewy grochu, owsa. Z jęczmieniem jeszcze czekają, bo jego źdźbła na przymrozki bardzo są wrażliwe.

A i tak, choć robota, aż się pali w rękach, choć pierwsze promienie słońca już oświetlają rolników w polu, a ciemna nocka ledwo ich potrafi do izby zapędzić — ledwo ze wszystkiem da się wydołać — tak jest co roku — zawsze... Bo każda chwila wiosny jest droga. Ledwo siewy skończone, a pora już o buraków sadzeniu pomyśleć Ziemniaki też do lata nie mogą czekać!

Gosposie w ogródkach się pocą, o warzywach i kwiatach myślą, na len zagony szykują, pszczelarze ule obchodzą.

W olszynie biało od zawilców... Łąki złocą się kaczeńcami. — Wszędy ruch, praca, życie.

Wiosna przyszła!

Z. D. K.

„KUSZENIE SZATANA". — JERZY ŻUŁAWSKI.

(Po odczytaniu odpowiedniego ustępu).

Jaki charakter ma ten utwór?

Utwór ten ma charakter filozoficzny. Autor przedstawia w nim walkę dobrego ze złem i uwydatnia, na czem polega rozłam w duszy ludzkiej.

Kto symbolizuje dobro?

Dobro symbolizuje człowiek jakiś podróżny, który spotyka na swej drodze szatana.

„Szatan, zmożony pracą całodzienną, szedł przez pusty wygon kamienisty...

...A zaszedł mu drogę człowiek niejaki, przybyły z miasta na wzgórze puste, aby się modlić wieczorną godziną".

Co za różnica zarysowuje się już w ich wyglądzie zewnętrznym?

Człowiek-dobro jest „pogodny i spokojny", głos jego słodki choć smutny, „jak wianie wiatru od morza w dzień upalny...

Szatan zaś ma chmurne oblicze, oczy jego „krwawe, bezsenne, wieczyście wdal wytężone". Walka i niepokój w tych oczach.

Jakie charakterystyczne zdanie wypowiada szatan?

„Idę zawsze....

Ja nie wiem, co jest spoczynek".

Co w tej chwili zaznaczyć należy?

Żuławski uwydatnił doskonale istotę zła — jest nią wieczny niepokój.

Charakter dobra — to uciszenie serca przez harmonję z Bogiem, z ludźmi i ze sobą.

Jakim obrazem maluje autor szczęście spokoju?

Jest wieczór. Przez ogromne łany zboża idzie chłód odwieczerza. W naturze niezmącona cisza. Zioła i kwiaty modlą się do Boga. Lilje polne otwierają kielichy ku gwiazdom. „Patrz! wieczór oto na niebie i odpocznienia łaknie stworzenie wszelkie... Godzina jest cicha i dobrze wesprzeć teraz skroń na rękach, poglądając na niebo ogromne i od zachodu złote!... ...zioła wonne modlą się do Boga i li-

lje polne otwierają wschodzącym gwiazdom białe kielichy".

Z czem zwraca się człowiek-dobro do szatana?

Zadaje mu pytanie, dręczące serce ludzkie: „Poco chcesz mącić ciszę Bożą na ziemi?... Ostaw ich w spokoju... spocznij".

Jak reaguje szatan na słowa człowieka?

Odpowiada, że nie może spoczywać, bo pracy ma wiele. Rozwija też plan swego działania. Mówi, że idzie uczyć ducha ludzkiego ciekawości nienasyconej, niepokoju wiecznego, radości mocnych, samolubstwa nieugiętego, idzie uczyć wojny, niepodległości, dumy, niesprawiedliwości.

„To jest poselstwo moje i praca, z którą na świat idę i od której znój czoło me opływa, albowiem jest ciężka".

Wie szatan, że i dobre wpływy działają na dusze ludzkie, więc trud czeka go ciężki.

Co przeciwstawia człowiek nauce szatana?

Człowiek rozwija program Chrystusowy, zawarty w ośmiu błogosławieństwach, które zwalczyć mają zasady złego ducha.

Jak dalej akcja się rozwija?

Szatan i człowiek zaczynają dysputować. Jeden chce przekonać drugiego o prawdzie swych twierdzeń .

Czem charakterystyczne są dowody obydwu?

W słowach człowieka widoczna jest miłość głęboka i pokora poddania. „Spocznij! Tem słowem Bożem będzie żył człowiek, kiedy mu chleba zabraknie". Wyniosłe słowa szatana świadczą o pysze niepohamowanej: „Kto będzie mocy swej pewien, przyjdą na jego zawołanie anieli niebiescy".

Czego symbolem jest ta dyskusja?

To obraz wiecznej walki między złem a dobrem, obraz ustawicznego ścierania się w duszy ludzkiej pierwiastków boskich z poduszczeniami szatana.

Jaki charakter nadaje Żuławski z początku tej dyskusji między człowiekiem-dobro a szatanem?

Mamy najpierw wrażenie, iż człowiek przekonuje złego ducha, u którego nie spostrzegamy zacięcia. Jest w nim raczej jakiś ból i smutek.

„Zadumał się szatan i zadziwił, słysząc te słowa... Nowe to są słowa dla mnie... i mogą być nawet Boże, ale nie dla serca mojego..."

U którego z poetów francuskich spotykamy się z podobnym typem szatana?

Szatan Żuławskiego przypomina szatana Alfreda de Vigny w poemacie p. t. „Eloe". W skargach jego niema siły piekielnej. Żal czytelnikowi tego pięknego i nieszczęśliwego archanioła, jak żal silnemu człowiekowi biednego, słabego dziecka. Podobne uczucie mamy z początku dla złego ducha w utworze Żuławskiego.

Kiedy dopiero wybucha wściekłość szatańska?

Szatan otwiera do głębi duszę swoją wtedy, gdy człowiek-dobro powiedział: „Bogu się pokłonisz i Jemu samemu służyć będziesz". Gniew i oburzenie powstaje w sercu nienawidzącem Boga. „Pójdź precz kusicielu! Kto mnie posłucha, kłaniać się nie będzie nikomu, owszem panem świata się stanie".

Co uwydatnił w tej chwili Żuławski?

Podkreślił, że istotą złości szatańskiej — to pycha i niepodległość. Inne namiętności są ludzkie, pycha, to namiętność szatańska. W niej początek i koniec złego.

Rozumie poeta doskonale, że na pychę niema lekarstwa. Wszystko da się pokonać, pycha duchowa jest prawie zawsze nieuleczalną. Żuławski uchwycił istotny pierwiastek zła.

Jaką filozoficzną myśl wyraża tym obrazkiem?

Szatan został szatanem, bo ukorzyć się nie umie i dlatego zło będzie wieczne.

Czem myśl tę akcentuje w utworze analizowanym?

Usłyszawszy ostatnie słowa złego ducha, człowiek-dobro odszedł smutny. Zrozumiał, że na nic nie zdadzą się jego argumentacje, „albowiem w szatanie jest duch niepokoju i niepodobna go odwieść od próżnego mozołu...

„Szatan zaś zwrócił kroki utrudzone ku miastu wielkiemu", by dalej tam swe dzieło prowadzić.

Który z poetów europejskich, podobnie jak Żuławski, pogłębił psychologję zła?

Milton w swym „Raju utraconym". Jego szatan jest tragicznym tem właśnie, iż wie, że takim, jak jest, pozostanie na wieki, bo o litość błagać nie będzie nigdy. Akt upokorzenia, uznanie swej winy i żal szczery, mogą w jednej chwili przemienić największego grzesznika

w świętego. Na taki czyn duchowy szatan nie zdobędzie się nigdy i dlatego zło będzie wieczne.

Zastanówmy się jeszcze nad artystyczną wartością utworu.

Obok głębokiej myśli uderza nas piękno zewnętrznej formy. Obrazki plastyczne, barwne Jesteśmy na tej kamienistej drodze, po której idzie znużony pracą szatan.

Upajamy się pięknem wieczoru letniego, wchłaniamy w siebie ciszę bezmierną, woń ziół i kwiatów. Czaruje nas słodkie, spokojne oblicze człowieka, przygniatają umęczone, krwawe oczy szatana. Jakiś wiew nieskonczoności idzie ku nam z utworu. — Musiał poeta nagiąć język i do myśli swej tak, że każde słowo jest echem wiekuistego zagadnienia walki dobrego ze złem.

M. Z.

Z TYGODNIA OCHRONY PRZYRODY.



Wystawa Tygodnia Ochrony Przyrody w Krakowie.

Olbrzymia sala, widna i jasna, cała wypełniona przeważnie młodzieżą Grupkami posuwają się po sali, zatrzymując się od czasu do czasu, tu dłużej, tam krócej. Na wszystkich prawie twarzach maluje się zainteresowanie. Prócz grupek większych i mniejszych widać i pojedyncze osoby — małych nawet chłopców i dziewczynki — które snują się po sali, przystając jeszcze tu i ówdzie, jakby chcąc sobie utrwalić w pamięci to, co tu widziały i słyszały. Wychodzą — wszystkie twarze uśmiechnięte, zadowolone. Przed salą czekają nowe tłumy zwiedzających. Co to? — Wystawa Tygodnia Ochrony Przyrody, urządzonego staraniem Koła Przyrodników U. U. J., a na który złożył się jeszcze cykl wykładów.



Wystawa Tygodnia Ochrony Przyrody w Krakowie.

Głównym celem urządzenia tego Tygodnia była chęć zapoznania szerszych warstw społeczeństwa, a głównie młodzieży szkolnej, z ideą ochrony przyrody, pokazania — choć niestety nie w naturze, tylko na obrazkach — ile piękna kryją w sobie różne zakątki ziemi naszej, co im zagraża, głównie od bezmyślnych, chciwych tylko zysku, względnie chwilowej przyjemności ludzi, obudzenia tym sposobem umiłowania tej naszej pięknej przyrody ojczystej, oraz zrozumienie potrzeby chronienia jej przed zniszczeniem. I zdaje się, że cel ten osiągnięto w zupełności. To olbrzymie zainteresowanie, jakie dało się obserwować u zwiedzających nie przeminie przecież bez śladu. Niech tylko każdy z tych, którzy się przesunęli przez salę wystawową — a było ich około 10,000 osób — starać się będzie czemkolwiekbądź przyczynić się do urzeczywistnienia idei ochrony przyrody, choćby tylko tem, że przyrzeknie sobie nigdy nie zrywać lekkomyślnie i bez potrzeby kwiatów, nie łamać gałęzi drzew i t. d. — to już sprawa dużo posunie się naprzód. A przecież wiadomo, że gdy kto się jakąś ideą przejmie i gorąco ją ukocha — nie pozostanie to bez wpływu i na jego otoczenie i tym sposobem idea ta zjednywać sobie będzie coraz więcej zwolenników.

J. Golkówna.

FERDYNAND FOCH.



Z urzędniczej, średnio zamożnej, a gorąco katolickiej rodziny pochodził, wcześnie zasadami religijnemi się przejął i otwarcie, z pewną brawurą nawet, je głosił. Znane było ogólnie jego nabożeństwo do św. Teresy od Dzieciątka Jezus i do św. Joanny d'Arc. Widywano go często przystępującego do Komunji św. i modlącego się w kościele ze swej ulubionej, grubej książki, zawierającej w jednym tomie Ewangelję, Mszał i „O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa". — Mimo religijnych uprzedzeń sfer rządzących we Francji, otwartość ta nie psuła mu „karjery". — Gdy w 1907 r. powołano go na Dyrektora Szkoły wojennej, zawołał: „Ależ ja mam brata, Jezuitę!" — „Wiem o tem — odpowiedział Clemanceau — wszystko mi jedno, nam trzeba dobrych oficerów".

Życiorys Ferdynanda Focha wyrazisty: urodzony w 1851 r. Tarbes, w Pirenejach, w 1870 r. brał udział jako ochotnik w wojnie francusko-pruskiej, następnie ukończył szkołę politechniczną i akademję Sztabu. W 1907 został dyrektorem Szkoły wojennej, w 1913 — dowódcą korpusu w Nancy, w wojnie światowej w 1914 r. dowodził 9-tą armją i przyczynił się do zwycięstwa nad Marną. W 1915 kierował ofenzywą na północnym odcinku, w 1916 nad Sommą, w 1917 został szefem sztabu generalnego, w 1918 generalissimusem wszystkich wojsk sprzymierzonych i silną wolą swą i wytrwałością, przyczynił się do zwycięstwa. W sierpniu tegoż roku otrzymał tytuł marszałka Francji. Podczas rokowań pokojowych był przewodniczącym komitetu wojskowego Ententy. W kwietniu 1923 otrzymał tytuł marszałka Polski, której szczerym zawsze był przyjacielem; nieco wcześniej otrzymał tytuł marszałka Anglji. Do ostatnich prawie dni, brał udział w pracach naczelnego dowództwa Francji, a nadto oddawał się badaniom historycznym. Zmarł po długiej chorobie dnia 20 marca b. r.

Marszałek Foch był nietylko dobrym żołnierzem, genjalnym wodzem — był nadewszystko wielkim człowiekiem, co „*wyżej nad szablę, cenił krzyż*".

Z POLSKI ZE ŚWIATA.

PRZESILENIE RZĄDOWE przyniosło nam zmianę gabinetu; ustąpienie premjera Bartla i kilku ministrów. Misję utworzenia nowego gabinetu otrzymał minister oświaty dr. K. Świtalski. Ministrem oświaty został dr. Sławomir Czerwiński, b. dyrektor gimnazjum w Koninie i w Piotrkowie, następnie wizytator seminarjów nauczycielskich, ostatnio podsekretarz stanu w M. W. R. i O. P.

SEJM uchwalił na rok budżetowy 1929 (liczący się od 1 kwietnia) wydatki na sumę 2.785,015.141 zł., a dochody na 2.962,595.941 zł.

NA SKUTEK UCHWAŁY KOMISJI SEJM. SPRAW ZAGRANICZNYCH sejm ratyfikował protokół podpisany w Moskwie 9 lutego b. r. pomiędzy Polską, Rumunją, Łotwą, Estonją i Z. S. S. R., a wprowadzający w życie pakt Kelloga.

LIGA MORSKA I RZECZNA wszczęła akcję celem uzyskania dla Polski części b. niemieckich kolonij zamorskich, do których zdobycia i rozwoju przyczynili się, za czasów niewoli, Polacy b. zaboru niemieckiego.

PIERWSZA PIELGRZYMKA POLSKA do Ziemi św., wyruszyła z Krakowa w liczbie 97 osób.

POWODZIE spodziewane w Polsce, nie przybrały tak katastrofalnych rozmiarów, jak w innych latach, wyrządziły jednak znaczne szkody. Wisła zalała przeszło 30 wsi, Dniestr i Seret — kilka tysięcy morgów łąk i gruntu ornego oraz wiele domów, powodując ewakuację kilkuset rodzin.

PRZYJAZD IGNACEGO PADEREWSKIEGO DO POLSKI spodziewany na wiosnę, stoi podobno w związku z budową pomnika Wilsona, który nasz muzyk ma fundować.

ALEKSANDER MICHAŁOWSKI, znakomity pianista, obchodził 60-letni jubileusz swej działalności artystycznej koncertem, który wypełnił grą utworów Chopina.

ORYGINAŁ POLONEZA CHOPINA As-dur sprzedano w Berlinie na licytacji manuskryptów muzycznych za cenę 9.050 marek.

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY K. Rosinkiewicza p. t. „Sam", została przetłomaczona na język czeski. Przekładu dokonał Hans Sedlaczek.

POLSKIE WYROBY KOSZYKARSKIE cieszą się coraz większym popytem w Ameryce.

LEN POLSKI jest bardzo pożądany na rynkach zagranicznych.

* * *

ANTONI LANGE, znakomity pisarz, poeta i wysoko ceniony tłomacz utworów poezji wschodniej, zmarł w Warszawie, dnia 17 marca b. r.

* * *

PIERWSZY WYJAZD OJCA ŚW. z Watykanu, ma nastąpić w lipcu b. r. do Monte Casino, sławnego klasztoru Benedyktynów. W dalszych, projektowanych podróżach po krajach katolickich, wymieniana jest też Polska.

PRACE PRZYGOTOWAWCZE NAD BUDOWĄ RADJOSTACJI WATYKAŃSKIEJ, która ma stanąć w pobliżu papieskiego dworca kolejowego, zostały rozpoczęte. Dzięki zastosowaniu najnowszych udoskonaleń technicznych, stacja ta przewyższy zasięgiem włoską państwową stację.

W LOURDES W AFRYCE, odbył się pierwszy kongres „Katolickiej Unji Afrykańskiej", którego obrady dotyczyły polepszenia społecznych warunków bytu rasy murzyńskiej. Moskwa i tu zaczyna prowadzić bolszewicką agitację.

SZEF RZĄDU AUSTRJACKIEGO Ks. dr. Seipel, ustąpił z zajmowanego stanowiska wraz z całym swym gabinetem.

PRZEŹROCZYSTE SAMOLOTY budują na próbę w Anglji, z nowoodkrytego, przeźroczystego materjału zwanego „plass.

PAPIER Z ŁODYG KUKURYDZY już wyrabiają w Ameryce. Wyszła tam książka drukowana na takim papierze, tańszym, podobno i trwalszym od używanego dotychczas.

* * *

KOBIETY PRAWNICZKI nie były dotąd dopuszczane do stanowisk sędziowskich; pierwszą kobietą-sędzią, została w Polsce p. Wanda Grabińska.

POLICJA POLSKA rozpoczęła szkolenie 50 nowych funkcjonarjuszek policji kobiecej.

W PARLAMENCIE HISZPAŃSKIM zasiada 11 kobiet, w tem 3 przedstawicielki arystokra-

cji, 1 robotnica, 1 znana powieściopisarka, 6 działaczek społecznych.

ZAWODY KOBIECE AUTOMOBILOWE. Raid kobiecy odbył się we Francji na dystansie Paryż—Saint Raphäel. Droga zawodów automobilowych prowadziła z Paryża przez Vichy, Hejeres do Saint Raphaël i wynosiła ogółem 1160 km. W czasie raidu odbył się wyścig górski, wyścig płaski na szybkość, a zawody zakończył konkurs elegancji. Podobno, jak twierdzą fachowcy, kobiety jako właścicielki i zawodowe szoferki, okazują większy od mężczyzn zmysł orjentacji, zimną krew i więcej ostrożności w prowadzeniu samochodów.

W STANACH ZJEDNOCZONYCH PRACUJE ZAROBKOWO-SAMODZIELNIE 13 miljonów kobiet, nie licząc w tem robotnic fabrycznych — stanowią one 1/3 część wszystkich kobiet. Jeden ze znawców stosunków amer. dowodzi, że właśnie w ogólnej pracy kobiet należy upatrywać przyczynę rozkwitu i dobrobytu tamtejszego społeczeństwa.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Pajaderski Nikodem: „POZNAN". — 152 ilustracyj. — Lwów-Warszawa. Książnica Polska. — Stosunkowo rzadkie jeszcze są dzieła sztuki polskiej. Tem serdeczniej i goręcej trzeba je popierać, bo piękno potężnie przemawia do dusz i silnym jest czynnikiem do rozbudzenia miłości Ojczyzny. Książkę niniejszą, odznaczającą się doborem pięknych ilustracyj, polecić trzeba szczególnie teraz, gdy prawie cała Polska zawita do Poznania na Wystawę, bo tylko po uprzedniem zorjentowaniu się w miejsowych warunkach, będzie można skorzystać nietylko z tego co ofiarują one nam dzisiaj, ale i z zabytków cennych minionych wieków. *S. L*

„MALI ULUBIEŃCY JEZUSA" — to nowy cykl wydawnictw OO. Jezuitów (w Krakowie, ul. Kopernika 26), zawierający życiorysy dzieci podobnych do siebie w miłości Jezusa Eucharystycznego, a różnych jako typy dziecięce.

1) „ANIELSKI MŁODZIENIASZEK" — Aleks. Berti (tłomacz. z włoskiego). Oleś to młody, lecz duchowo wyrobiony, o wykończonych rysach duszy asceta „Paź wielkiego Ołtarza", którego najmilszem zajęciem jest rozpamiętywanie cierpień Ukrzyżowanego.

2) „JEZUSOWA LILIJKA" — MAŁA LUCIA) (Ks. W. Marmoiton T, J.), to wesoła szczebiotka, co przeprasza „panią różę", gdy ją w ogrodzie niechcący trąciła, żali się na słoneczko, co jej główkę „umaściło" i „kłuje, jak broda tatusia". W duszy tego najprzeciętniejszego w początkach życia dziecka, rzeźbi jednak Miłośnik dzieci coraz wyraźniej Swe Najświętsze Imię, dając jej zrozumienie tajemnicy Eucharystji — a duszyczka, wierna wezwaniu — oddaje się miłości Boga.

3) „ZIEMSKI ANIOŁEK — LIVIETTO" *(ks. A. Bessières T. J.)* — to żywy, jak iskra, chłopczyna, który z całą powagą umie się zdobyć na postanowienie: „raczej śmierć, aniżeli grzech", który systematycznie przeprowwadza analizę własnej duszy, z niesłabnącą energją pokonując trudności duchowe, swe dziecinne wady, by wolny od nich, bardziej mógł zbliżyć się do Pana Jezusa.

Wyrazisty i sprężysty język wszystkich trzech tomików, każe zapominać, że się ma przed sobą tłomaczenie — zewnętrzna forma: minjaturowy formacik, barwna okładka, twworzą odpowiednie pendant do miłej treści i zalecają te książeczki, zwłaszcza jako drobny a wartościowy podarek dla dzieci, n. p. na pamiątkę I-szej Komunji św. *M. L.*

Wydawnictwa Józefa Zawadzkiego w Wilnie:

J. Stanisławska: „RESURECTURI". — Obrazek sceniczny w 1 akcie, osnuty na tle oswobodzenia Wilna od bolszewików w 1919 r.

M. Reuttówna i B. Wrzos: „TRZECI MAJ" — obrazek sceniczny w czterech odsłonach ze śpiewami, żywym obrazem i deklamacją, przeznaczony na obchód narodowy 3-go maja.

KALENDARZ „ISKIER" na rok 1929 — mała encyklopedja i notatnik. Rocznik V. Opracował W Kopczewski. Nakł. „Iskier", Warszawa, 1929, str. 256, cena 4 zł. — Zawiera wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy i życia. Na wyróżnienie zasługuje dział wiadomości o Polsce dawnej i teraźniejszej.

M. Arct Jr.: „JAK POWSTAJE KSIĄŻKA" z 32 fotogr. (Wyd. M. Arcta) — Autor zaczyna od rękopisu i przechodzi aż do sprzedaży książki konsumentowi, oświetlając jasno i popularnie każdy z zawiłych procesów tworzenia się książki. Mamy więc opis wyrobu papieru, wyjaśnienie, co to są linotypy, jak działa maszyna drukarska, jaka jest rola zecera, jak się książkę oprawia. Na przykładzie objaśnione jesta działanie księgarni wydawniczej i sortymentowej. Fotografje ilustrują każdy dział zakładów M. Arcta.

OD REDAKCJI.

Za życzenia świąteczne, za listy i kartki, wszystkim drogim Czytelniczkom redakcja serdecznie dziękuje i życzy, by odpoczynek wakacyjny, pomógł teraz do tem intensywniejszej pracy pod koniec roku szkolnego. — Dla wielu z Was, to już ostatni w życiu rok szkolny — niechże zostawi po sobie jak najlepsze wspomnienie, tej doli i niedoli szkolno-egzaminowej, tych zadzierżgniętych węzłów przyjaźni koleżeńskiej, tych zdobytych szerszych horyzontów myśli, dalekich zasięgów serca miłującego wszystkich i wszystkim dobrze czynić pragnącego.

EWO C. rozumiem, że taki długi wypoczynek przymusowy, nie jest miłym, ale może być pożytecznym nietylko dla zdrowia, ale i dla wzmocnienia woli hartującej się w pełnieniu tego co przykre a potrzebne.

ZONIA H. mogłaby się na obszerniejszy list zdobyć!

A czemu *BAŚKA M.* w takie lakonizmy teraz się bawi?

HANKO L. — odwagi! to nie tak trudne, jak się zdaje.

RENIU B. Za list dzięki. „Gawędy" nie przynosiły nowych tematów, więc przestałam je umieszczać. Może poddacie jakąś inną formę wzajemnej wymiany myśli?

* * *

W każdym numerze „Dziś i Jutro", podajemy szereg książek, nowo wydanych, lub i dawniejszych, a wartych przypomnienia. Czy korzystacie z tego wykazu? — Czy podawane dzieła odpowiadają Waszym zamiłowaniom i potrzebom? — Odpowiedzcie nam na te pytania, podając też tytuły książek, (wraz z nazwiskami autorów — a jeśli pamiętacie, to i z podaniem wydawnictwa) — które się Wam najlepiej podobały, i które chciałybyście koleżankom swoim lub młodszym polecić. — Może to będą takie, o których redakcja jeszcze nie wie — podzielcie się swemi wiadomościami, podamy je szerszemu ogółowi.



Lekcja gimnastyki w Gimnazjum SS. Urszulanek w Stanisławowie.

ŁAMIGŁÓWKI.

PRZEKŁADANKA.

Przekładając litery ułożyć znane ludowe przysłowie.

a, d, e, e, e, i l, ł, n, n, o, o, p, r, s, u, w, w, y, z, z.

ARYTMOGRAF.

(uł. J. Popielówna).

					6					
				5	8	**7**				
			4	10	14	1	**8**			
		3	6	7	13	3	1	**9**		
	2	10	7	×	×	×	14	11	**10**	
1	12	×	×	5	6	4	×	×	7	**11**
×	1	1	9	1	1	1	1	3	1	×

Odczytać 11 pionowych wyrazów oznaczonych cyframi. Litery w kratkach z krzyżykami czytane od strony lewej ku prawej dadzą nazwisko polskiego malarza.

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska. 2) Bóg egipski. 3) Narząd wzroku (2 przyp.). 4) Drzewo. 5) Drzewo. 6) Owad zdrobniale. 7) Rzeka wpadająca do morza Adrjatyckiego. 8) Wielka sala. 9) Rzeka w Lombardji. 10) Nuta 11) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK.

Z NUMERU 5-ego:

KRZYŻÓWKA.

■	K	A	R	O	L	■	A	D	O	L	F	■
S	■	N	A	D	■	H	■	O	R	A	■	K
A	N	■	D	■	A	L	E	■	P	■	P	A
T	O	R	■	G	Ł	O	W	A	■	K	O	T
Y	S	■	T	■	O	N	A	■	K	■	T	E
R	■	T	O	I	■	D	■	K	I	J	■	R
■	B	R	A	M	A	■	A	P	M	A	L	■
B	■	O	S	A	■	T	■	E	O	L	■	P
A	B	■	T	■	R	A	K	■	N	■	K	A
R	E	N	■	R	O	M	A	N	■	G	A	J
O	Z	■	M	■	K	P	P	■	E	■	U	K
K	■	C	A	P	■	A	■	C	W	I	■	K
■	K	O	L	O	R	■	A	R	A	N	Y	■

ŁAMIGŁÓWKA HISTORYCZNA.

1. **R** a c ł a w i c e
2. **E** l e k c j a
3. **J** a s i ń s k i
4. **T** r a u g u t t
5. **A** u g u s t
6. **N** o w o s i l e o w

REJTAN.

TREŚĆ Nr. 8.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi $1\frac{1}{2}$ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Początek roku wydawniczego — 15. IX. 1928 r.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRVKARNIA·POLSKA
KRAKÓW